TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar**.

№ 21. Drezno, dnia 21. Maja 1871. **Rok II.**

Kronika tygodniowa.

Smutniejszego widoku nad walkę domową w Paryżu — nawet w najsmutniejszych czasach znaleźć trudno. Trzeba się cofnąć do średnich wieków, by podobny chaos i równie barbarzyńskie gwałty napotkać.

W imię swobody i rzeczypospolitej, pozamykane dzienniki, niszczone pamiątki, rozszarpana własność prywatna. Nie należym do przyjaciół p. Thiers'a, który dla Polski nigdy życzliwym nie był, lecz widzieć rabunek zbiorów jego, rozrzucenie rękopismów, które życie kosztowały — i to przez zemstę tłumu — oburza. Nad tę mniemaną swobodę znośniejszym być może despotyzm jednego człowieka, bo ten nie sięga tak głęboko, gdy rozpasanie ciżby jest zaparciem wszelkiej idei społecznej. Wszystko to dowodzi tylko, że komuna jest słabą, że postradała zmysł zachowawczy. Lada dzień też spodziewać się można, iż ją wewnętrzna jakaś rewolucja w Paryżu samym obali. Lecz cóż potem, i kto będzie w stanie rządzić rozhukanemi tłumami, które nie mają pojęcia co czynią, za co walczą i jak zgubnych szaleństw są narzędziem!!

Z Rosji przychodzi urzędowa wiadomość, o zatarciu ostatniego śladu odrębności Królestwa polskiego. Hr. Berg powołany do Petersburga, nie ma już wrócić do Warszawy. Namiestnictwo zostaje skasowane, w miejscu jego będzie tylko generał-gubernatorstwo, któremu przepowiedzieć łatwo, że wkrótce na dwa rozdzielone zostanie. Jako następców hr. Berga wymieniają generała Potapowa, niewygasłej pamięci generała Kaufmanna, na ostatek księcia Bariatyńskiego. Wątpiemy bardzo, ażeby księciu feldmarszałkowi miano ofiarować generał-gubernatorstwo; a gdyby się sprawdziła wieść, tylko powinszowaćby należało by Królestwu.

Zwraca mimowolnie uwagę ta okoliczność, że ilekroć gdzieindziej czynią się pewne ustępstwa dla Polaków, w Rosji natychmiast następują nowe ścieśnienia i rygory. Skasowaniem namiestnictwa odpowiada Rosja na nominację Grocholskiego i wniosek hr. Hohenwartha. Natomiast zabawną szerzą wieść z Berlina, iż tam także teka rolnictwa ma być daną Polakowi!! Wniosek hr. Hohenwartha tymczasem, po oświadczeniu jego, iż podobne autonomiczne ustępstwa gotówby rząd dać Czechom, wywołał między centralistami silną opozycję i o to — piszą znowu z Wiednia, iż najmniejszej nie ma nadziei, aby galicyjskie punkta przyjęte być mogły.

W Warszawie oprócz obiecujących się nowych pism kilku, nowych widowisk, koncertów i zimna a śniegu — nic więcej. Gotują się wyścigi, — równie jak we Lwowie i Krakowie. Pisma zapowiedziane są: **Niwa,** przegląd dwutygodniowy literacki; **Figaro,** gazeta codzienna, na wzór znanej francuzkiej, redaktorami Sarnecki i Karski; naostatek S. Czarnowskiego **Przegląd handlowo-przemysłowy.**

SEDAN.

(Dokończenie.)

Przez cały dzień po nad Sedanem powietrze się paliło. — Sznury kul wiązały się i rozwięzywały pasem śmierci w atmosferze rozgorzałej. Gradem leciały tynki, dachówki, kominy walące się, kamienie poobrywane, spadające z łoskotem na bruki ulic. Grzmotowi dział towarzyszyły wystrzały ręczne. — Huk armat był tak okropny, że książę Fryderyk Karol słyszał go z pod Metz, ale mu się zdało, że pochodził od Montmédy. — W ulicach nagle słychać było głuchy grzmot i coś czarnego przelatywało. — Były to kule. Ludzie przechodzący z jednego trotuaru na drugi, padali jak piorunem rażeni roztrzaskanémi bombami. — Pokazywano mi małą uliczkę, niedaleko placu Turenjusza, gdzie dziewczynka, która wyszła z domu do korzennego sklepu przez uliczkę tylko, — padła z oderwanémi kulą nogami. — Kilka domów strasznie ucierpiało. Kawiarnia, zdaje mi się, zowiąca się Café des Glaces, cała została zburzona bombami. . . . W ulicach zniszczenie niesłychane. — Co chwila wpadały oddziały żołnierzy bez tornistrów, bez strzelb . . . lecieli pędem . . . jakby ich goniono. Całe kompanije wchodziły z oficerami i pchały się, by co prędzej wnijść. — W bramach miasta duszono się, wiele osób stratowano pod nogami. Najzabieglejsi wskakiwali na ramiona idących, i po nich się ratowali, przez tłum ściśnięty. — Jazda znowu nadbiegała w cwał, rozbijała tłumy uchodzących, wywracała wszystkich i puszczała konie przez ciżbę wystraszoną. Drogą leciały, co koń wyskoczy, ze strasznym łoskotem, podskakując po bruku, wozy artyleryjskie. — Konie bez jeźdźców, spłoszone, zdziczałe, biegły za szwadronami rozproszonémi, tłukły się o wozy, deptały pieszych i przebijały przez żywe zapory, które gromadząc się tu i owdzie biegiem spieszyły w ulice Sedanu. W samych bramach miasta ludzi spychano przez łańcuchy w fossy pełne wody. — W Sedanie wszystko było pozamykane, drzwi pozabarykadowano, ledwie gdzieniegdzie głowa się jaka ukazywała w oknie. Prusacy strzelali z góry; wały już były ich. — Przez dwa dni okropna klęska napełniała miasto rozbitkami. — Wszystko co z korpusu 4., 5., 7. i 12. znajdowało się w Givonne, a nie uszło na Mézières, uchodziło tu, ścigane krok w krok przez nieprzyjaciela. — Cały ten tłum był umierający. Nikt z nich od tygodnia nie spoczął, a noc jednę i dzień cały nic nie jedli. — Przez sześć tygodni ciągle żywność brano z Sedanu; nakoniec Sedanowi zabrakło i nic nie posyłano. Dnia 25. Lipca, podintendent z Mézières pisał: — „W twierdzach Sedanu i Metz niema ani solonego mięsa, ani sucharów.“ — Natenczas za-

„Kurjer warszawski“, który liczy już 4,500 ambonamentów, przedsiębierze także podobno reformę i powiększenie.

W teatrze po wyjeździe Rapackiego i p. Modrzejewskiej, występuje Richter.

We Lwowie nowo potwierdzony burmistrz, Dr. Ziemiałkowski przyjmował Radę i urzędników na ratuszu, uroczystą ucztą, na którą zaproszeni byli J. M. X. Arcybiskup Wierzchlejski, ks. marszałek Sapieha i zastępca namiestnika baron Possigner. Miasto chce nawzajem przyjąć swojego wybrańca. Major Kühnl Lwowianin, który był piękny zbiór obrazów, monet i zabytków ofiarował do Instytutu Ossolińskich — zmienił w testamencie rozporządzenie i przeznaczył je dla miasta Lwowa, które — rade nie rade, będzie miało początek nowego Muzeum. W Rzeszowie na d. 2. Lipca zapowiedziało Towarzystwo gospodarczo-rolnicze krakowskie wystawę rolniczo-przemysłową.

Pierwsze dwa numera **Woli**, pisma literackiego, ukazało się we Lwowie dnia 3 Maja i — 13. Trudno jest sądzić o piśmie, które się rozwinąć i dać poznać nie miało czasu — znać jednak ze wstępu jaki „Wola“ ma cel i zadanie. „Przeciwnicy kierunku idealnego nie przybliżyli społeczności ani o krok do celu pierwotnego, do wywalczenia bytu, jakkolwiek wołali i wołać nie przestają — precz z marzeniami!! Przyczynili się za to dzielnie do wyziębienia zapału, do zobojętnienia na wszystko, co nie nosi wyraźnej cechy chwili bieżącej. Sądzono zapewne, że dusze oziębłe, że umysły ku materjalizmowi zwrócone — chwycą się gorliwie pracy zapewniającej dobrobyt. Stało się przeciwnie, i nie mogło być inaczej, bo odarłszy młode serca z illuzji, pokazawszy, że ciepło owe jest zawadą w zdobywaniu dobrobytu, wielu straciło zupełnie ochotę do pracy gorącej, a grać natomiast zaczęło komedję — udając pracowitych.“ W pierwszym numerze i w drugim, powieść i komedja przeplatane są listami literackiemi, artykułami o kwestjach współczesnych — (Co czynić? Ruch umysłowy na polu religijnem). Oprócz tego są studja literackie, bibljografia, rozmaitości. Pismo redagowane w duchu liberalnym. Oprócz tego zapowiada się we Lwowie: **Gazeta literacka.** Szczęść Boże!

W Poznaniu adres do ojca św., na który zbierają podpisy — stał się też powodem nie małych trudności. Koło polskie jako koło i ciało zbiorowe podpisać go nie mogło i niepodpisało. Dziwna rzecz, że to stronnictwo, które w innych agitacje i manifestacje potępia i wszelki ruch niemi zowie, samo przecież bawi się w manifestacje i agitacje. W adresie, który kilku obywateli z Księztwa ma zawieść do Rzymu, mowa też jest o ojcu św., jako o królu. Bolejemy nad tém, że państwo kościelne odpadło od stolicy apostolskiej, lecz faktem jest, że ono chce być połączone z Włochami, a rządów duchownych nie życzy. Możemyż my, co bolejemy na to, że nas gwałt trzyma tam, gdziebyśmy być nie chcieli, podpisywać wyrok, który narodem rozporządza przeciwko jego woli? Zresztą co nas zmusza mięszać się w sprawę, która wcale do nas nie należy. Winszować głowie kościoła dwudziestu pięciu lat prawdziwie męczeńskiego panowania, przebytych z wielką mocą duszy, każdyby poszedłby chętnie, ale nie życzyć tego co dla świętości apostolskiej stolicy nawet — nie byłoby szczęśliwem. Stronnictwo ultramontańskie oddawna nosząc się z myślą założenia dziennika, dla braku redaktora tylko nie mogąc przywieźć do skutku programmu, znalazło go podobno w osobie p. Manna, z Krakowa, jednego z wyprobowanych redaktorów „Czasu“, i pewnie najzdolniejszego z nich. Poznań tedy będzie polem walki zajadłej. Gdyby nas wszakże posłuchać chciano! Stronnictwo ultramontańskie samo się wydzieliło i odosobniło od narodu, cel ma po za nim, — potrzebujemyż walczyć z niém, troszczyć się i posiłkować mu rozgłosem? Zostawmy je przy jego pracy dezorganizacyjnej, a sami nie patrząc, nie sporząc, nie odpowiadając — idźmy własną drogą... niech ono się stanie kastą zamkniętą, i — powoli wymiera na moralnej banicji. „Dziennik poznański“ mieści między innemi artykuł powołujący kraj do zajęcia się szkołą Żabikowską i zapewnienia jej bytu. Ze sprawozdania spółki teatralnej, przekonywamy się, iż fundusze zebrane (około 11,000 talarów) dozwolą zająć się wkrótce budową.

Gwiazdka cieszyńska drukuje adres podany ze Szlązka do ministerjum o równouprawnienie językowe. W Cieszynie założoną być ma szkoła rolnicza, lecz poddana zarządowi opawskiego towarzystwa rolniczego, które jest czysto niemieckie.

„Dziennik Poznański“ donosi o założeniu w Dreznie przez p. Czesława Pieniążka pensji polskiej dla mężczyzn. Była ona pożądaną — i mamy nadzieję, że przez wszystkich poparta, przy zdolnościach i chęci niezmordowanej do pracy p. Pieniążka szczęśliwie się rozwinie. Możemy zaręczyć, że ani religijny ani narodowy kierunek zaniedbanym w niej nie będzie. Często rodzice tu zostawują dzieci w rękach obcych, wiary innej i narodowości ludzi, a tłumaczą się potrzebą nauczenia niemieckiego języka i t. p. Tu język niemiecki równie troskliwie i skutecznie nauczanym będzie, ale obok tego dzieci zostaną katolikami i polskiemi dziećmi.

W Paryżu zmarł czasu oblężenia, **z głodu**, Franciszek Grzymała, dawny redaktor „Astrei“ z roku 1830, od 1831 na emigracji. Niech Bóg przebaczy tym co się z nim chleba kawałkiem podzielić nie umieli.

Donoszą z Belgradu o śmierci, d. 4. Maja, Józefa Kłody-Batowskiego żołnierza polskiego z roku 1848, tłumacza przy konsulacie francuzkim w Serbji od r. 1856. Śmierć nastąpiła skutkiem apopleksji.

W Tarnopolskiem, w Galicji, d. 6. Maja zmarł nagle Karol Wodyński uczeń techniki krakowskiej, znany ze zdolności i prawości charakteru. Był on naczelnikiem „Ławy“ we Lwowie podczas ruchu, który poprzedził r. 1863, później z tego powodu więziony. „Ubył nam, pisze „Kraj“, znowu jeden z tych, którzy w ordynku narodowym służą bez przerwy, nie pytając o to czy na stanowisku szeregowca, czy oficera. Pod

---

często bić konie, ale rachowano wiele na jazdę, trzeba je było oszczędzać. — Markietanki zaczęły wyrzynać mięso ze zdechłych koni po drogach i piekły je przy ogniu. A że nie było soli, tłuczony gips, popiół z drzewa i ziemia sucha zastępowały ją.

Piechury nocami wkradały się do obozów jazdy, zawiązywali nozdrza koniom sznurami, aby nie rżały, i w brzuch pchając bagnet, zabijali. — Rano dopiero postrzegano konie na ziemi leżące, zdechłe, z powycinaném mięsem.... Piechurów pobrano, a jazda czuwała nad końmi i już ich nie zabijano. Mięso zaś koni zdechłych nie dawało się trawić, zaogniało krew i rodziło wrzody jątrzące się — zabroniono go jeść. — Dopóki były owoce, dawano zrazu koniom co w sadach pootrzęsano, aby zastąpić owies, słomę, a nawet sieczkę, której brakło; ale w końcu owoce trzeba było zachować dla siebie, dawano tylko koniom gałęzie z winnic. — Konie padały nagle, a ludzie zostawali po drogach, wycieńczeni dyssenterjami. Zresztą i owoców zabrakło rychło. — Przestano całkiem jeść — pili wodę z kałuż na drodze, czerpiąc ją dłonią. — W takiem położeniu Francuzi ujrzeli przed sobą paszcze dział 2. i 3. armji.

Armija Mac-Mahona, jak wiadomo, opuściła Châlons dnia 21. Sierpnia idąc na Reims przez Rethel, Chène populeux i Beaumont.

Dnia 30. de Failly został pobity — natenczas poczęto iść na Sedan. — Atak Niemców był straszliwy — zajmowali wzgórza. — Zewsząd ich działa grzmiały. Francuzi trzymali się dobrze. — O południu olbrzymi wieniec ognia począł się ścieśniać, Francuzi walczyli jeszcze. W godzinę potém nieprzyjaciel zaczął obchodzić ich, skrzydło lewe złamano. — Prusacy silniej następowalii, odcięli skrzydło lewe — dano rozkaz do odwrotu. — — Ratuj się kto jak może! — wołali Francuzi. — 80,000 ludzi rozproszonych leciało do Sedanu. — Mundury wisiały szmatami na nich i trzymały się powiązane sznurkami, pospinane kolcami od ciernia, nakształt spilek. Barwy ich rozeznać nie było można pod warstwą błota, która je okrywała, oficerów od prostych żołnierzy nikt nie rozróżnił. Wielu pookrywało się kołdrami, znalezionémi po drodze, a nogi zbolałe poobwiązywali skórami zwierząt.

Na pytania odpowiadali, że sami nie wiedzieli jak przyszło do walki. Wodzono ich w prawo, w lewo, w przód, w tył, najdziwaczniejszémi manewrami sprzecznémi, a gdy się nikt nie spodziewał, gdy miano gotować, odpoczywać, nieprzyjaciel spadał na kark. Stracili wszystko, żywność, amunicję, oficerów, jenerałów, szli przed siebie, walcząc, biegnąc, bagnetami torując drogę, strzelając, bez wodzów, bez bębnów, bez rozkazów. — Wszyscy prawie przybywali kulawi, poodrapywani, pokaleczeni, połamani, wlokąc za sobą ledwie nogi, podziurawieni od kul, posiekani od szabel, i krwią płynąc jak bydło w rzeźni.

tym względem wzorem i przykładem był świętej pamięci Wodyński.“

W Warszawie zmarł w 77 roku życia, Wincenty Koitkowski, b. referendarz stanu.

Czytelnicy nasi mogli się już dowiedzieć z „Dziennika poznańskiego“, że byliśmy zmuszeni brakiem sił, zdrowia i zasobów — tyle pracy i starań włożywszy w drukarnię naszą — odprzedać ją w inne ręce. Pociesza nas to, że je w zacne i zdolne ręce oddajemy. Nabywcą jest Dr. Wł. Łebiński z Poznania. W dzisiejszych czasach, gdy na kraju cięży tyle i tak ważnych obowiązków, uskarżać się na brak poparcia i współczucia, byłoby grzechem. Nie zbywało nam zresztą na życzliwych — ale sił własnych wreszcie zabrakło. Są wypadki i uczucia, które je nagle wyczerpują.

Z tegoż powodu i „Tydzień“ nasz, od d. 1. Lipca, nie powiemy zamknąć, zawiesić na jakiś czas przynajmniej musiemy. Jeśli Bóg dozwoli — pokrzepieni wskrzesim go może.

Wielu z naszych abonentów złożyli z góry przedpłatę na kwartał trzeci i czwarty. Tym wszystkim zwracamy ją przez zaliczkę pocztową d. 1. Lipca.

Ci, którzyby w zamian życzyli sobie wziąć książki, mogą otrzymać odpowiednią ilość tomów Bibljoteki Pamiętników, za zniżoną o 25% cenę, tak, że za każdy talar, odbiorą książkami sgr. 37 ½.

Upraszamy tych panów, którzy jeszcze w roku przeszłym podjąwszy się zbierania abonamentu i odbierając pismo, do dziś dnia z należności się nie uiścili, aby tego obowiązku dopełnili. (Między innemi p. A. Piątkowskiego ajencję we Lwowie, p. J. E. Abłamowicza w Królewcu i p. Stan. Zawadzkiego w Krakowie).

Wypadki Krakowskie.

W chwilach obłąkania ludzie popełniają samobójstwa — lecz, zaprawdę są nieszczęśliwe narody, co się same dobijają w roznamiętnieniu zgubném, którego nic uniewinnić nie może. I zowie się ratunkiem co ma być zgubą, i nazywa się poświęceniem co jest obłąkaniem, przezywa posłannictwem co nosi cechę namiętności. — W takich godzinach ciężkiej próby, ludziom co się nie dali szałowi ogarnąć, ból serce ściska... dusza zwątpiała nie wie jakim przemówić wyrazem.

Nigdy namiętności choćby heroizmów cechę przybrały, gdy po za kres działania rozsądku i rozwagi wykroczą, nie są już w stanie dalszego swego pochodu ani powstrzymać, ani nim rozporządzać. Naówczas zimni rachmistrze złego, z szatańską przebiegłością wyzyskują najpoczciwsze uczucia i kierują niemi do swych celów. — Na szałach nikt nigdy nie zyskał — roznamiętnienie nigdy nie poprawiło człowieka, ani zbawiło narodu. Powiecie, iż są namiętności szlachetne — tak, ale i najszlachetniejsze wyzyskać potrafi złość, bo i te ślepym człowieka czynią.

Czujemy się w obowiązku zdać sprawę obszerniejszą z wypadków Krakowskich, bo one dziś są najcharakterystyczniejszym symptomem nieszczęśliwego stanu ducha, rozdziału i walki w łonie naszego społeczeństwa istniejącej. — Wypadki te są jakby zewnętrznym wyrzutem choroby co długo tajemnie toczyła ciało.... Obecnej chwili dzieje sięgają daleko po za chwilę obecną. Ma w nich udział niepospolity i stan umysłów w Europie i cierpienia nasze domowe. — Polska była przeważnie katolicką, lecz katolicyzm jej, z wyjątkiem chwil upadku, nie był owym fanatycznym i oślepłym, jakim się przerodził gdzieindziej. Bóg nam dał uczuć i umiłować wiarę Chrystusową w prostocie ducha i dziewiczości serca, tak jak jej Zbawiciel nauczał — a im wiara nasza była głębszą, tém mniej do ziemskich podpór się uciekała. Nie lękała się Polska tolerancji, aniśmy kiedy sądzili iż można było nawracać gwałtem, lub sumienia siłą gnać do uznania prawdy. Największa gorliwość łączyła się z miłością największą. — Tak dożyliśmy niemal aż do tej doby prześladowań religijnych i zawichrzeń politycznych, które na naród oddziałały, miotając nim w różnych kierunkach. — W cierpieniu straciliśmy poczucie i instynkt zachowawczy, padły najświętsze tradycje i przekazy przeszłości — poszliśmy za wszystkiemi co nam drogi mniemane zbawienia pokazywać chcieli. Wiódł nas każdy, gdzie kto żądał... łzy oczy wyjadły. Jedni widzieli zbawienie w niewiarze, drudzy w fanatyzmie — na starém Polski stanowisku, męczeństwo ustać nie dało.... Zwichnięci — rozpierzchliśmy się.

Wybuchy następowały po wybuchach osłabiając nas i odbierając resztę panowania nad sobą. Rewolucje chciano leczyć heroicznémi leki najskrajniejszego konserwatyzmu... a nim tylko rozwścieklano namiętności. — Szliśmy za bolem własnym i za tłumami europejskiemi — z wolnomyślącémi jedni, z fanatyzmem drudzy... zawsze dla miłości ojczyzny. — Odbiło się w nas co gdzieindziej wrzało, z podwojoną własną namiętności siłą.

W takich czasach panuje stronnictwom, nie kto je chłodną wodą rozsądku oblewa, lecz kto je wiedzie do nowych szałów. — Gdy się na nieszczęśliwy wybuch 1863 r. zbierało w Warszawie, ks. Golian sądził, że najtrafniej postąpi łając duchowieństwo, z ambony u św. Jana, a wywołał oburzenie i namiętność. — Burzliwy duch pyszałka, który bodaj męczennikiem być pragnął, byle wysoko wyjść męczeństwem, brak pokory chrześciańskiej i miłości Chrystusowej — wiódł go na bezdroża. — Był pewien, że działa najkorzystniej dla religji — dla kraju może — a zapalał ognie, przy których zguba grzać się miała.

Niektórzy w kawałki pocięli koszule dla poobwiązywania ran, i poobwijani byli w te szmaty stwardniałe od krwi zeschłej. — Obrzydliwe psy wychudłe zbliżały się wówczas do nich, uszy położywszy, z okiem zeszkloném, z ogonem podtulonym, i językiem krew oblizywały.... Też same psy, zdziczałe stado wściekłe, nocą skakały do nóg koniom zdychającym po rogach ulic... i pożerały je żywcem.... Musiano do nich strzelać i zabijać.....

W Givonne kościół był pełen rannych, a przed nim, zmięszana z błotem, słoma pokrwawiona na kupach jak gnój leżała.

W chwili gdyśmy wchodzili, posługacze lazaretowi, w fartuchach szarych, poplamionych czerwonémi kawałami, wymiatali przez drzwi wchodowe rodzaj kałuży cuchnącej, podobnej do tej, w której brodzą rzeźnicy w szlachtuzach. — Wyziewy tych cieczy zatęchłych były tak silne, że słudzy, aby niemi nie oddychać, palili fajki, wielkiemi kłębami dym puszczając i otaczając się ich obłokiem. Weszliśmy. — Chorzy mokli w urynie i we krwi. Pokładziono ich na kulach słomy, a nie mieli się czém okryć, oprócz swych płaszczów. — Słoma zmieniła się w gnojowisko. — Stężała krew pozsiadała się kawałami pod słomą, wisiała zastygła jak nici czarne i lepkie pod barłogami. Czerwone życia źródło wsiąkało kroplami w ten cyrk żałobny, a śmierć kierowała upustem. — Nic nie widać było prócz ran, gangren i dziur poszarpanego ciała. Ohydne kwiaty zgnilizny rozkładały się na tych trupach żywych ze swym jadem i trucizną. — Zjadliwe ciała gnilce, zarażały krew, ślizły na otwartych ran brzegach. — Cały szpital zdawał się w mękach konania. — Księża, lekarze, cyrulicy, młodzi uczniowie ze szkół, poświęceniem ubłogosławieni, kręcili się w koło i biegali. — W tém więzieniu śmierci miłosierdzie także przesuwało się pod postacią młodego dziewczęcia lub niewiasty, dobrowolnie idącej podzielać tę niezmierną boleść.

Żony, siostry, narzeczone, jako wijatyk oddawały swe dusze tym mężom, braciom, kochankom, i dłonią miękką przykuwały do nóg tych galerników kule — wieczności.

Felczerowie z zakasanémi rękawami, w fartuchach na biodrach, schylali się po nad cierpiącémi, a za niemi cisnął się tłum ludzi z ambulansów z szarpiją, bandażami, naczyniami wody pełnémi, flaszkami i pudełkami narzędzi. — Chwilami widziałem ich przyklękających, a gdy podnosili obnażone ręce, błyskało w nich żelazko ostrzem.

Pacjenci poprzywiązywani byli do łóżek sznurami; gdy się który ruszył, ludzie za ramionami chwytali, niedając im się wyrywać. Czasem głowa zbladła, podnosiła się na pół po nad słomę i przypatrywała się oczyma męczennika operacji sąsiada. Słychać było nieszczęśliwych krzyczących i miotających rękami, gdy się chirurg przybliżył, próbowali wstać i uciekać. — Okropną rzeczą były te krzyki; pod piłą krzyczeli jeszcze głosem niewysłowionym, dzikim, schrypłym, jak

Zeszła się ta rola mnicha z ogólną agitacją religijną w Europie, stworzyło się u nas stronnictwo ultramontańskie, nie przeczym, iż w zacniejszych swych członkach pragnące dobra, ale idące ślepo do przepaści. Postawiono religję z jednej, ojczyznę z drugiej strony w antagonizmie, Chrystusa przeciw Polski! świętokradzcy!! Czém wreście dla nich Chrystus obok jenerała księży jezuitów!!

Krótko widzący zaczęli nawracać biczem, smaganiem, rozpędzaniem i grozą; nie wahano się nic poświęcić, — jątrzono rany zalewając je octem i żółcią.... Najostateczniejszy fanatyzm podjął się u nas ratować wiarę, której jest nieprzyjacielem i społeczność, która ma poczucie instynktowe gdzie jej iść należy.

Na posługi fanatyzmowi, tacy ludzie namiętni jak ks. Golian, tacy rozgorączkowani na zimno jak korespondent „Czasu,“ takie oślepłe dziennikarstwo jak ten „Czas,“ któremu oczy wyjęło zapatrzenie na blaski u góry — pościągały się, zaprzęgając do roboty słabsze a poczciwe umysły nawet, z których stańczykowską ową partję zlepiono. — Przyklaskiwali jej z Rzymu ojcowie duchowni, co kraju zapomnieli i nie znali, a mierzyli go włoskim łokciem... doszliśmy do tego, że otwarta wojna wybuchła. — Wojna w prassie, na wyborach, wojna w podzielonych rodzinach, wojna między duchowieństwem, wojna między — dziećmi, wojna między ludem poczciwym a nieletnim! A kto przynosi nam dziś wojnę, stokroć winien i przeklętym będzie, choćby na chorągwi świętokradzko krzyż wystawił — przeklęty!...

My pokoju, my rozumu, pracy potrzebujemy ażeby żyć! — Kto nam bój zwiastuje — wrogiem jest!

Nie pytam go — w imię czego chce bratniej wojny — kto z nią idzie, przeklęty! kto nas do niej prowadzi, nieprzyjaciela sprzymierzeniec! — Nam ukojenia potrzeba, nam wylizania się z ran, co okrywają ciało poszarpane, nam tchu, byśmy nie umarli uduszeni niewolą — a wy nam niesiecie wojnę, abyście nas nią dobili!! Nie pytam się barw waszych i znamion i godeł — zgubę niesiecie, niosąc rozbrat i wojnę. Duchowieństwo z ludem, starszyznę z młodzieżą, starą Polskę z Polską nową poważnić chcecie — ślepi a namiętni......

Lecz dość narzekań, które się ze zgorzkniałej duszy wylały, idźmy do bezstronnego opisu wypadków.... Mamy je ze wszech stron w korespondencjach, jakie nas doszły, opisane dokładnie — oto przebieg sprawy.

Ogłoszenie dogmatu nieomylności na soborze, jakkolwiek wielu zdawało się groźbą dla Kościoła i niebezpieczeństwem, przyjęte zostało bez oporu.

Do wytrwałych przeciwników, którzy nie ulegli nawet groźbie ekskomunikacji, należy słynny z nauki ks. Döllinger. — Rzecz tém dziwniejsza, iż ten sam Döllinger, który podpisuje się godłem — *Nec temere, nec timide, sed omnia consilio et virtute* — w r. 1848 wybrany jako poseł do parlamentu Frankfurckiego, przeciwko wszystkim jego liberalnym uchwałom, bez wyjątku głosował przecząco. W ocenienie postępowania wdawać się nie będziemy, opozycja w roku 1848 przeciw opinji ogółu, opozycja w r. 1871 przeciwko ustawom Soboru, zdają się wskazywać przedewszystkiem temperament energiczny, opozycyjny.* Z ks. Döllingerem wielu duchownych dzieli przekonania też same, lecz rozdziału i skandalu w kościele unikając, objawienie ich odkładają *ad feliciora*.

Mężne stawanie przy przekonaniach zawsze w massach obudza cześć i poszanowanie, czego dzięki Bogu serwilizm dotąd nie potrafił dokonać.

Sypią się więc adresy współczucia dla ks. Döllingera, począwszy od profesorów rzymskiego uniwersytetu.

Nic dziwnego, że słysząc i czytając o tém prof. dziekan Gilewski, po lekcji rozmawiając z uczniami fakultetu medycznego uniwersytetu krakowskiego, napomknął, iż Wszechnica też Jagiellońska winna by oznaką tą sympatji uczcić człowieka, stawającego w obronie prawdy. Myśl ta adresu tém mniej była dziwną, że ze strony wiernopoddańczej do stolicy apostolskiej agitują się adresy co raz nowe, z powodu rocznicy 25-lecia i t. p. — Czy była u nas trafną i w miejscu tam, gdzie nauka królować ma a kwestje religijne i społeczne — najmniej odgłosu, w interesie samej nauki znajdować by powinny — nie roztrząsamy. Nic się wszakże tak zdrożnego nie stało.

Zawsze pragnący się odznaczyć niezręczną gorliwością, a złośliwy jak stary rzezaniec, „Czas,“ z powodu denuncjowanych mu rozmów Dra Gilewskiego, umieścił zjadliwy i jątrzący artykuł, tém dziwniejszy, tém mniej trafny, że właścicielem gazety jest Dr. Tarnowski, również profesor Uniwersytetu, który przecież na kolegę tak napaść nie powinien był zniehacka.

Oto artykuł „Czasu“:

„Utworzoną została na Uniwersytecie Jagiellońskim nowa docentura terapji i patologji *teologicznej*, albowiem profesor patologji i terapji oraz dziekan wydziału lekarskiego Dr. Gilewski zaczął wczoraj wykład swój medyczny od rozbioru stanowiska ks. Döllingera względem Kościoła katolickiego i soboru powszechnego, a zarazem wezwał ucz-

* „Znacząca to jest dla stanu Kościoła, pisze ks. Döllinger, że można zostać heretykiem i wyklętym zachowując spuściznę wiary, — jak przedtém wierząc, jak przedtém nauczając tego, w co się wierzyło i czego się nauczało całe życie.“ (Przyp. Red.)

---

gdyby ich odzierano ze skóry. — Nie — nie chcę — daj mi pokój — nie! Idź sobie.

Brakło prawie chloroformu.

— Czy chcesz by cię uśpić, przyjacielu? — pytał lekarz starego sapera.

— E, nie! nie potrzeba, majorze, — odparł saper, — tylko mi proszę dać fajkę.

— Tego chloro.... jak on tam! dziękuję! — nie używam. Poczęstujcie nim tego zucha co tu koło mnie — jemu to potrzebniejsze niż mnie.

Zuaw, któremu obie nogi kula urwała, mruczał pod nosem:

— Cóż to to znowu, żeby się dać usypiać — to dobre dla Prusaków, ta miszkulancja!

Jeden po drugim, gdy ich obchodzili, rękami kościstémi ściągali z siebie kołdry i obnażali okropne krwawe rany. — Przyszła kolej na zuawa. — Przepraszam panów, — rzekł — portki mi zdjęto.... ale miał na sobie kaftanik, tylko nogi od dołu poobwijane były łachmanami, z których się krew sączyła. Doktór począł odejmować gałgany, ale pozlepiały się z sobą — a ostatnie do ciała przywrzały.

Polano wodą ciepłą te bandaże niezgrabne, a w miarę jak je polewano, chirurg odejmował.

— Któż cię tak zakrochmalił? — spytał chirurg — powiedz mój stary!

— A to kolega Fifolet, panie majorze. — Aj! aż włosy mi szarpią. — Jemu, z pozwoleniem, tył urwało, a mnie nogi. — Powiadam mu — Fifolet, ot, tośmy dobrze trafili. —

— A no tak, powiada mi, trzeba będzie mój talerz na miskę zamienić. — I w tym momencie — buch, pada nosem na ziemię a grzbietem do góry. — Oberwałem płaszcz z Prusaka, który chrapał — hr! hr! — paznogciami sobie łóżko ścieląc, i zawiązałem mu, temu biednemu Fifoletowi, jakem to tam umiał. Ten tylko co wstał, a ja ledwiem miał czas krzyknąć — sto tysięcy... i padłem.... On z siebie kaftanik zdjął i tak mi nogi opieluszył.

Chirurg przypatrywał się resztkom nóg zuawa. — Odwagi! — rzekł — nie bój się — to długo nie potrwa.

— A no! mierz — pal! — odparł zuaw — i wąsy wziął w zęby.

Dostrzegłem przez ścisk osób, pomocników i posługaczów nagą rękę chirurga, który poruszał horyzontalnie czémś białem, potém wzdłuż. — Ranni dosyć hałasowali i narzekali, i chrzypienie ich napełniało kościół, ale to nie przeszkadzało, żem słyszał skrzypienie piły, która kość zuawa rznęła. Chirurg podniósł rękę trzymającą piłę i dłonią otarł pot z czoła.... Piłka wązka, długa, cała była na każdym ząbku kroplą krwi okryta. Coś ruszyło się w kupce, na ziemi położono odciętą część.

niów do podpisywania ułożonego przez siebie adresu do Döllingera. Nie wiemy jak dalece podpisanie lub odmówienie podpisu ze strony słuchaczy wydziału lekarskiego wpływać będzie na postęp ich w studjach wykładanych przez p. Gilewskiego, a tém samem na ich egzamina. Co na to powie dział teologiczny, że się w jego sprawy mięsza dziekan obcego wydziału. —"

Zjadliwy ten ustęp wywołał naturalnie oburzenie między młodzieżą akademicką, która postanowiła stanąć w obronie dziekana i okazać mu swoje współczucie. — Naprzód więc, za pozwoleniem władz politycznych miasta, dnia 8. Maja odbył się pochód z pochodniami (przeszło półtorasta), przy licznym udziale publiczności do mieszkania dziekana, a dnia 10. umieszczono w „Kraju" od młodzieży następujące sprostowanie:

„Doniesienie „Czasu" nie zgadza się z prawdą. Katedry patologji i terapji teologicznej niestety, nikt w Krakowie nie otwiera, jakkolwiek może takowa przydałaby się wobec chorobliwych objawów, jakich przykład mamy na „Czasie." Najmniej zaś o utworzeniu takiej katedry myśli szanowny nasz profesor i dziekan wydziału lekarskiego Dr. Gilewski, który głównie wziął sobie za zadanie badanie i leczenie chorób ciała, a o chorobach umysłowych wspomina tylko mimochodem przy nastręczającej się sposobności. W doniesieniu zaś, jakoby Dr. Gilewski wykład swój zaczął od rozbioru stanowiska ks. Döllingera, tyle tylko jest prawdy, że po skończeniu wykładu, w rozmowie z uczniami swymi Dr. Gilewski podniósł zasługi ks. Döllingera, który jakby zręczny lekarz zbadał stan chorobliwy Kościoła katolickiego i w pismach swych trafną choroby tej podaje terapję. Dr. Gilewski nie potrzebował wzywać do podpisania adresu do ks. Döllingera, gdyż medycy Wszechnicy Jagiellońskiej tak samo jak koledzy ich na wszystkich uniwersytetach europejskich, zawsze gotowi są składać należny hołd mężom, którzy światłem zdrowego rozumu rozpędzając cienie przesądów i uprzedzeń, zapobiegają tysiącom chorób fizycznych i umysłowych, i tym sposobem stają się najwierniejszymi sprzymierzeńcami umiejętności lekarskiej. Nie mamy potrzeby odpierać ubliżającej nam i profesorowi naszemu insynuacji, jakoby podpisanie adresu lub odmówienie podpisu wpływać mogło na „postęp w studiach a tém samém egzamina." Dr. Gilewski przy klasyfikowaniu postępu i przy egzaminach uczniów swych, jest przedewszystkiem zaprzysięgłym urzędnikiem i sumiennym profesorem; insynuacia „Czasu" dobrze charakteryzuje tych, którym dla widoków Rzymu każdego czasu wolno jest łamać przysięgi, i których sumienie lada „absolucija" uspokaja."

„Kraj" drukując ten artykuł, dodał od siebie trafne uwagi o sprawie tej, sprawie sumienia, której „Czas" zjadliwie tykać nie był powinien, podnosząc ją do znaczenia sprawy publicznej.

Z powodu zaś pochodu napisał: — „Z naszej strony dodamy tylko, że podobnych demonstracij, zwłaszcza z motywów religijnych, bynajmniej nie pochwalamy; ubolewamy tylko nad tém, że „Czas" niewczesném i niewłaściwém podniesieniem tej sprawy stał się przyczyną tej niezwykłej u nas demonstracji."

Jakoż niezwykła ta demonstracja nie przeszła bez dalszych skutków.

Ślepi fanatycy i obałamuceni nie omieszkali z niej korzystać, tłumacząc ludowi krakowskiemu, iż młodzież heretyki, zaprzańce, ludzie bez wiary, manifestują przeciwko duchowieństwu, że księży będą wyrzynać i t. p.

Ks. Golian, któremu każda taka zręczność miłą jest, bo go chwilowo stawi na świeczniku, począł z ambony propagandę, burząc lud przeciwko młodzieży. — Dnia 11. Maja przed kościołem św. Florjana na Kleparzu, gdzie Golian jako administrator parafij co wieczór miewa kazania na majowém nabożeństwie, przyszło do krwawego starcia. Ks. Golian wyrobił sobie to, że należy do osobliwości Krakowa, tak że z innych stron Polski przybywający, idą dla ciekawości słuchać kazania jego, tak samo jak na występ Rapackiego lub Modrzejewskiej, trzeba mu bowiem przyznać, że ma dosyć talentu, a więcej jeszcze czelności. — Do św. Florjana zbiera się wiele osób, żeby z kazania wynieść skandal, jakie ono wywołuje. W dniu tém też wśród napchanego ludem kościoła, znajdowało się kilkunastu młodzieży akademickiej i techników, którzy przyszli słuchać Goliana, a posądzeni zostali i wskazani przez usłużne dewotki, jakoby jakąś przykrość ks. Golianowi wyrządzić myśleli.

Sam ks. Golian miał też się przyczynić do rozjątrzenia gawiedzi kleparskiej, powiedziawszy z ambony, że Chrystus chociaż nie bił w kościele, a z przedsionka wypędzał kupczących. Mularze pojęli to dosłownie i podburzony i podżegnięty lud, ciemny motłoch, złożony z najrozmaitszej zbieraniny, którą zawsze fanatyzmem rozpalić łatwo, ruszył przeciw tym, których o niewiarę posądzał. Ktokolwiek w cylindrze i porządniej ubrany wychodził z kościoła, motłoch się nań rzucał z kijami. — Pobożne niewiasty zachęcały do bitki, wykrzykując z uniesienia i radości, gdy tłum bezbronnego człowieka mordował, bo kto miał grubszą laskę, obronną ręką potrafił wyjść z zasadzki. Krew się polała, bo tłum ów Kleparzan skłonny jest do bójki, a zdało mu się, że broni sprawy Kościoła.

Nadbiegł wreście urzędnik policyjny z sześcią policjantami, ale tych przyjęto zrazu kamieniami i dopiero gdy dwu-

---

— Jeszcze sekunda! — mój dobry! — zawołał chirurg. Pomiędzy ramiona wsunąłem głowę i spojrzałem na zuawa.

— A no, pospieszaj majorze, — zawołał — bo czuję, że mi się niewiele należy.

Ciągle gryzł wąs, biały był jak trup, a oczy mu z głowy wyskakiwały. Sam oburącz trzymał nogę swoją i kiedy niekiedy odezwał się drżącym głosem — hu! hu! . . . od którego zapiłowało mnie aż w głębi.

— Otóż koniec — mój ojcze — rzekł chirurg, odejmując drugi kawał nogi.

— Dobranoc! — rzekł zuaw — i zemdlał.

Ranni byli tak ściśnięci, że między łóżkami ledwie przejść mogli obchodzący. Z boku na bok przewracali się na posłaniach, wołając śmierci. W okrutnych kłębach zwijały się ich pokurczone ciała pod kołdrami. — Niektórzy z okrutnego bólu obrywali sobie bandaże, inni, rzucając się spadali na okrwawioną podłogę. Nagle wpadali we wściekłość, bili pięściami, poobcinane ciało, ryczeli, pienili, stawali na nogi i padali gryząc słomę, na którą się stoczyli.

Gorączkowe drżenie poruszało członki amputowanych, zęby ich zgrzytały, piersi dychały głośno za każdém poruszeniem . . . i krzyk dawał się słyszeć — wody — pić! pić! — I rękami szamotali zwijając się.

Prusak jeden umarł w tej chwili gdym go mijał. — Palce jego stężałe mięły i ściągały płaszcz, i szarpały go w chwili konania. Nagle podniósł się, siadł — wszystko się skończyło. — Opadł martwym. Dopierom dostrzegł, że miał czaszkę rozbitą i otwartą.

Dwóch ludzi zbliżyło się, wzięli zmarłego za ręce i nogi i zanieśli do zakrystji. Poszedłem w tę stronę i ujrzałem w cieniu kilka noszów, jedne na ziemi, drugie o mur oparte.

Na jedném leżały już dwa trupy stwardniałe — Prusaka położono w poprzek. — Stary jakiś jegomość, udekorowany, z siwemi wąsami — surowy, zimny — pochylił się żywo po nad nosze, popchnął oburącz głowę Prusaka i popatrzał na trupy pod spodem.

— To jenerał francuzki, który syna szuka, — szepnął mi ktoś.

Leżący w gorączce majaczyli strasznie. Zimno się robiło, słuchając ich mówiących o rodzinach, o ojcach, matkach, siostrach i wioskach, w których się rodzili. — Bo każdy z tych nieszczęśliwych, odartych, poobcinanych, miał tam matkę, siostrę, ojca, narzeczoną, którzy na kolanach modlili się gdzieś zdala, aby Bóg natchnął króla pruskiego i żeby się ta wojna skończyła. — Kiedyś, gdy ci co w jakim kącie nieznanym ziemi, bez krzyża, bez kamienia, bez całuna, nie rzucą kości na rozdrożu, gdy ci co wyjdą cali z tych bojów, więzień, ambulansów, powrócą z rękami na temblaku, z głową obwiniętą, bez nogi, z kulami pod pachą, do ognisk domowych — sąsiedzi, ojcowie, matki, siostry, żony, kochanki stać

dziestu obrońców porządku publicznego nadeszło, a główni z rozbójników pouciekali, pochwycono pozostałych i pono kilka też pań, które się żywiej zajmowały komenderowaniem, przytrzymano. — Śledztwo się toczy.

Cały dzień następujący d. 12. trwało wzburzenie, młodzież rozjątrzona chce się pomścić krzywd swoich towarzyszów, na wieczór zbrojono się przeciwko motłochowi — ale policja zakazała nabożeństwa u św. Florjana i kościół zamknięto . . . tak że bójki nie było do wieczora.

„Wieczór w chwili gdy to piszę, słychać krzyki po ulicach — dodaje nasz korespondent. — Wybiegam, tłumy ludu biegną w jednę i drugą stronę, rzemieślnicza młodzież roznamiętniona, szuka na kimś pomsty. Pytam się kilku po drodze — odpowiadają mi, że szukają księży — że wojskowy patrol ukryty w dziedzińcu u Jezuitów na Wesołej, gonił z bronią zbierających się ludzi. — Dolatują mnie okrzyki: — „Śmierć Jezuitom! — zemsta Kleparzanom! podpalić tych, co akademików mordowali przed kościołem!“ — Po chwili mogłem się przekonać, iż wszystko co żyło tchnęło zemstą przeciwko księżom, obwiniając ich o podbudzenie do wczorajszego rozruchu. Młodzież rzemieślnicza, czeladź trzyma z akademikami. . . .

„Puściłem się dalej ku Wesołej, ale przy Gródku, u wstępu do ulicy Kopernika, gdzie klasztor mają OO. Jezuici, żołnierze komenderowani przez urzędników od policji, nie puszczali dalej nikogo, a zapewne dla postrachu na karabiny pozakładane mieli bagnety. Mówią o aresztowaniu wielu osób, które już wprzód pod klasztor OO. Jezuitów podbiegły. Wszystko tu przypisuje potajemne podżeganie i niecenie niepokojów tym zakonnikom, od których przybycia tu i osiedlenia się Krakó w spokoju nie ma.

„Wśród tak zburzonego tłumu jedno słowo ognistsze, a co żywo rzuciłoby się na Jezuitów i ich znanych zwolenników. Szczęściem młodzież szkolna zachowała takt i umiarkowanie godne pochwały.

„Z boleścią — pisze korespondent, dodać muszę, iż cale niewłaściwie, czcigodny męczennik sprawy narodowej, powszechnie szanowany Piotr hr. Moszyński, wystąpił w tej sprawie z memorjałem w „Czasie“ wydrukowanym, którym domagał się od Rady uniwersytetu, aby w kwestji adresu do Döllingera, jawnie się przeciwko niemu oświadczyła.

Rada wszakże przeszła nad tém wezwaniem do porządku dziennego.

Uniwersytet nie jest w kwestjach religijnych uprawnionym do narzucania tej lub owej opinji członkom swoim, i jeśli gdzie to tu, zostawia swobodę sumienia tak nauczycielom jak uczniom. Jeśli wolno w tym samym uniwersytecie zbierać podpisy oświadczające się za nieomylnością, dla czegoby wzbronioném być miało podpisywać adresy protestujące? Uniwersytet składa się z profesorów i uczniów wyznań różnych, wszelkim polemikom religijnym i politycznym powinien się, przynajmniej starać być obcym. W czasach, gdy ludzie nieopatrzni lub złej woli rzucają żarzewia waśni nawet między rodziny, trudno by i uniwersytet ostał się obcym a obojętnym kwestjom żywotnym, ale nadużywałby jego powagi, ktoby w imieniu jego chciał dyktatorsko je rozstrzygać na jedną lub drugą stronę. Nie właściwem jest w czasie studjów mówić o adresie do Döllinger'a, lecz czemuż tejże młodzieży inne adresy podpisywać zalecano??

Kto tu jest winnym?

„Czas“, który niepotrzebnie podniósł rzecz prywatną ze złością sobie właściwą — potém ów nieprzyjaciel moderantów, któryby gotów zapalać stosy i brać na tortury, byle zyskać imię rozgłośne i wyrobić sobie stanowisko; naostatek wszyscy co zamiast łagodzić, uśmierzać, koić, dolewali oliwy do ognia.

Od jakiegoż to czasu w łono społeczeństwa naszego wgryzła się ta zajadła namiętność, ta nietolerancja obrzydliwa, ten przymus zadawany sumieniom, te wywoływania i potępiania ludzi dla przekonań ich — te podżegania i rozterki? od czasu jak stronnictwu ultramontanów zdało się, że gwałtem a hałasem uda siłę i pokaże potęgę. Na komenderówkę z góry poszli do ataku i ci co walki chcieli, i ci co jak barany Panurga idą za drugiemi, i uczciwi a słabi, i niepoczciwi, a na wszystko dla panowania i zaspokojenia ambicji gotowi? Kto począł, kto podsyca, kto jest przyczyną tych walk . . . nie odpowiadam, — niech odpowie sumienie wasze — ale powiem co cała uczciwa stara katolicka Polska ze łzami woła: kto sieje między nami niezgodę i bój — niech będzie przeklęty!

Dość tych inkwizycji i tych wystawiań pod pręgierzem i tych impelle intrare. Ludzie prawi powinni zerwać wszelką polemikę z dziennikarstwem partji wstecznej, podburzającej, jątrzącej — nie wspominać o jego istnieniu, nie odpowiadać na potwarze, pogardą milczenia je zabić. Niech się odosobni, oddzieli, odłączy od nas, niech idzie kędy i jak chce, my z niemi nic wspólnego mieć nie powinniśmy, ani się nawet rozgorączkowywać napaściami.

„Czas“ mógł był sobie dowcipować jak chciał o Dr. Gilewskim, młodzież mu nie powinna była odpowiadać, ani brać tego do serca. My idźmy drogą pracy, dalej a dalej, a dajmy im się pienić i rzucać i wściekać w niemocy konania. Co nas to obchodzi?? Niech dziennikarstwo da sobie słowo nie podnosić kwestij podobnych — nie odpowiadać na nie, niech się nie da wciągać do walki, której oni właśnie pragną, bo oni na niej zyskują choć trochę uwagi, choć odrobinę znaczenia, jakichby bez niej nie mieli. Dać im umrzeć na pustkowiu.

Co nam do tych ludzi! My idziem z wiekiem, my pracu-

---

będą miesiącami i latami u okien i drzwi synów, mężów — tych co nie powrócą — i będą sobie włosy rwać z głowy, a bić skroniami o drzwi domostw z rozpaczy.

Mieliśmy wychodzić, gdy młody chłopak leżący na słomie przy drzwiach, dał nam znak, pokazując kawałek papieru. — Znalazł go w kieszeni i napisał na nim ołówkiem słów kilka.

— Mam matkę staruszkę, która tam teraz płacze, — odezwał się — a oto słówko, którem do niej napisał. . . . Jeśli macie litość nad biednémi, postarajcie się to jej przesłać.

Opowiedział nam, że zaciągnął się na wojnę i że miał brata także w wojsku. Ranny był na polu bitwy pod Givonne. Nagle zawołano: — „Ratuj się, kto może!“ — począł więc biedz jak drudzy . . . kawałek kartacza urwał mu część nogi i upadł. Przypomniał sobie tylko, że wśród nocy usłyszał obok siebie jęki — podniósł się na łokciu i postrzegł cienie jakieś wlokące się zwolna po ziemi, inne leżały nieruchome. — Dotknął ręką nogi, trzymała się tylko na skórze. Chciał odciąć ją nożem, ale zemdlał. Zrana chirurg pruski go amputował. — Starałem się mocno o to, aby papier, który mi powierzył doszedł do jego matki.

Przed ambulansem Prusacy i Francuzi rozmawiali razem, a że im słów do rozmowy brakło, dopomagali sobie ruchami i mimiką, jak niemi. Ci, którym zostały ręce, zwijali cygaretki dla drugich. Wszyscy prawie mieli głowy poobwiązywane, ręce, nogi, a spierali się na kijach i kulach. — Szerokiej twarzy chłopak wesoły przekrzywiał się stojąc z drugiemi i założywszy głowę na ramię linijowca język pokazywał. Widząc, żem na niego patrzał, spojrzał też na mnie i począł się okrutnie śmiać, ręce położywszy na kolanach, głupio-dziecinnie cicho . . . mruczał chwilami:

— Franzosenhund — hu! hu!

Był to Prusak, który w czasie bitwy rozum postradał.

Dwaj oficerowie francuzcy, oba ranni, ściskali się i obejmowali.

— Gdzież ty idziesz? — pytał jeden.

— Do Belgij — odparł drugi — a ty?

— A ja zostanę.

— Cóż? więźniem na słowo?

— Ale przedewszystkiem żołnierzem francuzkim.

— No, więc do widzenia, zobaczemy się wkrótce.

Pod kościołem leżała kupa ogromna torb, szabli, bębnów, szako i szasepotów. — Odczepiłem od pasa dobosza pałeczkę, której mosiężna oprawa od krwi poczerniała . . . wziąłem jeden worek, włożyłem weń pałkę, kawał chorągiewki i szaserski tornister przypasałem sobie na plecach. . . .

---

jemy i walczym o przyszłość, oni siedzą na grobach, trupy, i na żywych plują.

W ostatnim numerze „Kraju“ znajdujemy wiadomość iż ks. Goljanewi zwierzchność kościelna zakazała miewać kazania jątrzące ludność nieoświeconą. — Szkoda tylko, że tego nie uczyniono zawczasu . . . dopiero gdy się krew polała. . .

Rektor uniwersytetu Kremer, wydał też odezwę do akademików upominając ich, aby unikali wszelkich możliwych zaburzeń pokoju publicznego. — W zajściach wszakże na Kleparzu i Wesołej, medycy ani młodzież akademicka żadnego nie brali udziału.

Dr. Gilewski, jak słychać, odbiera mnóstwo anonymów, a jako lekarz zaproszenia nocną porą w odległe przedmieścia.

Mieliśmy już wypadki za ukończone, spodziewając się, że i namiętności które je wywołały, ukoją się, gdy gorliwy „Czas“ przyniósł nową łuczynkę, żeby ogień nie wygasał. — Łuczynką tą jest artykuł przeciwko dziennikowi „Kraj“; oskarżający go o wyszukiwanie skandalów i drażnienie. To już po prostu śmieszne, bo „Kraj“ z umiarkowaniem i taktem podziwienia godnym, milczał w tej sprawie, i przecież artykułu przeciwko Dr. Gilewskiemu nie pisał, który całą burzę wywołał. — Dając należną odprawę „Czasowi“, „Kraj“ pisze (d. 17.)

„Dziennik który się nie wahał, dla dogodzenia fanatycznym namiętnościom swym rzucić głownię niezgody w spokojne miasto nasze, i dla okazania swej orthodoksji wywołać zaburzenia uliczne, — dziennik taki niechaj wyraz „godność“ wykreśli na zawsze ze swego słownika.“

Nie dosyć na tém, znać zburzenie umysłów trwa ciągle, bo „Kraj“ donosi iż listy z pogrożkami płyną ciągle do Dr. Gilewskiego, i doradza:

„Zwracamy uwagę dotyczących władz, że byłoby może właściwém, dla uniknięcia niepokojów możliwych (!!) przy zbieraniu się tłumów, wszelkie majówki odłożyć na później, a przynajmniej potrzeba większej niż zwykle ostrożności i karności. Za powrotem z majówek należałoby młodzież wszelką, już za rogatką rozdzielić i nie wprowadzać do miasta wielkich tłumów.“

Miłe zaprawdę życie, gdzie się wciśnie garść takich propagatorów — nauki Chrystusowej, którzy z całej Ewangelji pamiętają tylko to, że Zbawiciel dyscypliną wypędzał z przedsionka świątyni!!

J. I. Kraszewski.

Nowe Książki.

Kraków przed czterdziestu laty, przez Walerego Wielogłowskiego. Wydanie pośmiertne. Kraków. Wł. Jaworski, 16, 298 str.

Z przedmowy pana Lucjana Siemieńskiego dowiadujemy się, że ta powieść Walerego Wielogłowskiego, autora Polski w obec Boga, w r. 1865 po śmierci jego znaleziona została niedokończoną, i że „dopełnienia jej, jednym nie całym rozdziałem podjął się pan Lucjan Siemiański“ jedynie z miłości ku zmarłemu, a razem z miłości ku jego pracy, aby ta nietylko nie była straconą, lecz owszem odświeżyła pamięć człowieka, które tyle uczuć i myśli, tyle wonnych kwiatów rozsypawszy za życia, jeszcze po zgonie, darzy nas tym bławatkiem wyrosłym jakby na jego mogile.“

Powieść, — pisze pan Lucjan Siemieński, — wysnutą jest z prawdziwego lub prawdopodobnego zdarzenia, interesuje jak pamiętnik, jak wspomnienie szczęśliwej młodości, przedstawia żywo i wiernie skreślony wizerunek ówczesnego społeczeństwa, tworzącego jakby jedną rodzinę. „Na tém pogodném tle, mówi zawsze przedmowa, przesuwają się zabawy publiczne, żywot domowy, towarzyski, a w dosadniejszych rysach scharakteryzowane niektóre domy i osoby, tém droższe sercu Krakowian, że jak dzieliły, tak dotąd dzielą wszystkie błogie i smutne koleje podupadłego grodu, który, jeżeli wiele zawdzięcza wspaniałym gmachom i zabytkom przeszłości, mającym dar przyciągania do siebie, to nie mniej i tym, co starożytne cnoty, aż do dni naszych przechować umieli.“

Tak mówi wydawca o powieści — Kraków przed czterdziestu laty.

O wartość pamiątkową tego bławatka mogilnego, a raczej niezabudki, spierać się nie będziemy — jest tu wiele rysów i ciekawych i zajmujących i miłych sercu Krakowian, bo że dawny ów gród stary, niby jedna rodzina zgodny i pod patrjarchalnemi rządy używajacy błogiego spokoju, wygodniejszym był niż dzisiejszy, gdy się wszystkie proletarjaty porównouprawniały i straszliwém — *memento mori* nad uszami brzęczą — to nie ulega wątpliwości. Znać ból ten po starym rzeczy porządku i w powieści Wielogłowskiego i w przedmowie Siemieńskiego; i w ogóle we wszystkiem co u nas *laudatores temporis acti*, piszą i wydają. — A! któżby tej przeszłości odmówił jej poczciwego wdzięku! Niestety — była to ostatnia scena epoki, po której nam do nowego życia dorabiać się przyszło w boju, nieznośnemi często szturchańcami i pod homerycznem łajaniem pasujących się z sobą. Dla starych ciężkie to już zadanie i ten cały stan przechodowy, w którym społeczność jeszcze sobie gniazdo ściele, a siąść i spocząć i tchnąć nie może — cóż, gdy to nic zbyte i nieuniknione??

Łudzić się wszakże, jak się jeszcze łudzą niektórzy, iż po chwilowym zamęcie, w niemożności wyrobienia nowego stanu znośnego, ludzkość wróci do starej formy, z Bożej łaski, — do podziału na klassy, do patrjarchatów, przywilejów, dystrubucji światła oszczędnej, cenzury i policji wszechwładnej — trudno.

Pojmujemy żale za przeszłością — nie rozumiemy nadziei by ona wrócić już mogła, bo nic nie powraca. Nie rychło będzie lepiej i znośnie, dużo wybryków przeżyć musiemy i reakcyjnych i radykalnych, ale — są prawa niezłomne.

W całej powieści Wielogłowskiego, ten żal przeszłości się przebija, z przekąsem do teraźniejszości, której my nie broniemy — jest nieznośna, to prawda — lecz przyszłość pocieszać powinna. Idziemy do niej.

„Sługi owej daty (183?) pisze p. W. W. (31 —), którzy się ze swém państwem w każdej sprawie duszą i sercem stowarzyszali, bo ich dotąd nie owiał duch postępu, i nikt lokajom nie wykładał kursów o prawach człowieka (a co, panowie prelegenci!!!) i bezwzględnej równości. Dzisiajby się zapewne z służbą naszą, taka sztuka nie udała, bo już stanęli na wysokim stopniu przekształcenia, to jest, że znają swoje prawa, ale nie znają obowiązków.“

Bardzo dowcipnie, — w tym rodzaju — porównanie przeszłości z teraźniejszością (str. 96 — 97) z powodu młodzieży akademickiej, „która odznaczała się szczerém dla wszelkiej zwierzchności szkolnej lub rządowej uszanowaniem“ jest także charakterystycznem. „Później, już niestety, zmieniło się to piękne młodzieży akademickiej usposobienie. Oda do młodości zajechała jej głowę i zrodziła nieustające tarcie się w łonie rodziny, na drożdżach pychy przybyło wzrostu, a pisklętom urosły skrzydła. Dzieci ucząc się abecadła przymierzały doktorskich biretów, a studenci, prawodawstwa Bożego i ludzkiego rozłożywszy księgi, śledzili, czy te ustawy z postępem są zgodne?“

Tak było wczora, — ale dziś jest pono znowu inaczej. „Szczutek,“ który zna dobrze nową generację młodzieży, ręczy, że oprócz bilardu i knejpy nic już ją nie obchodzi. Czy tak lepiej niż za panowania Ody do młodości? nie wiem.

Charakter ten polemiczny powieści, któryśmy wskazali, nie jest w niej panującym, są to mimowolnie wyrwane z piersi narzekania, ale tych wiele nie jest. Przywiedliśmy je raczej na pokazanie ducha i dążności ogólnej. Nie razi powieść zresztą zbyt wybitną tendencyjnością — maluje, dramatyzuje, opowiada. Pod względem artystycznym, — mimo całego poszanowania jakie mamy dla zasług, Waler. Wielogłowskiego, wyznać należy — rzecz jest słaba. Powieści jego ludowe, które sobie przypominamy, nieskończenie wyższe od niej i udatniejsze. Z małym wyjątkiem postacie zakrawają na karykatury, a osobliwie przesadzony hrabia Rudolf, stary konkurent panny Olympji, a potroszę też i nie ciekawa jej mama. Osnucie całe, prowadzenie mało zręczności dowodzi a niewykończeniem i zaniedbaniem formy równa się najznakomitszym pod tym względem współczesnym wyrobom, przeciw którym słusznie występował nieraz z tego względu p. Luc. Siemieński w feljetonie „Czasu.“

Na tle tej intrygi o pannę, którą matka chce wydać za starego hr. Rudolfa nieznośnego egoistę, sama zamiar mając wyjść potém za tego, który się stara o córkę jej — poprzylepiane są obrazki tytuł usprawiedliwiające, ogólnikowo narysowane, ale jako pamiątki zajmujące. Mamy tu Łobzów,, Lipki, piękne opowiadanie o Ordynatowej Zamojskiej, ogród Kremera, ogród Krzyżanowskiego, dom hr. Arturostwa Potockich pod Baranami, majówkę na Bielanach, i t. p.

„Kraków, powiada autor, był zawsze i jest siedliskiem owej rdzennej szlachty, która po zasłużonych praojcach odziedziczywszy należne w kraju poważanie, przyjęła też razem ciężar długów i obowiązków, z których się wiernie wypłaca. Dość panu przytoczyć słynne w kraju imiona kk. Lubomirskich, Małachowskich, Wielopolskich, Łubieńskich, Czackich, Dembińskich, — a, równie zacnych i zamożnych (!) rodzin jakiemi są Potuliccy, Wodziccy, Stadniccy, Michałowscy, Badeniowie, Popielowie i t. d.“

Oto jeszcze mały wyjątek z tego obrazu Krakowa przed czterdziestą laty.

„Nie bierzcie szanowni postępowcy za złe swym ojcom, że nie zajmowali się wówczas zbyt polityką. Cała Europa po Napoleońskich burzach wypoczywała, dla czegóż Kraków miał się od niej wyróżniać? Nie mieliśmy wówczas ani nowych, ani starych promessów, Fremdenblattów, Debatów, Uliczników krakowskich, ani innych batów, nie mąciły nam głowy żadne Botszaftery ani Anceigery, Nordy et consortes, a Gazetę krakowską Jana Maja wtedy tylko czytano, gdy napisała przypadkiem coś o teatrze. „Pszczółka krakowska“ zaspakajała belletrystyczne potrzeby, lecz z drugiej strony nie mieliśmy także Creditlosów, promessów, i tym podobnych biesów; nie mąciły nam spoczynku termina podatkowe i kursa monetarne, nie patrzyliśmy jak stoi *Karlludwigsbahn*, a przecież każdy był sobie pan za swoje trzy grosze.“

„Mieszkania, odzież, obówie, żywność, wszystko to było za bezcen i na przekór dowodzeniom uczonych ekonomistów, dowodzących, że drogość stanowi pomyślność kraju; a przecież przy taniości Kraków był bardzo bogatym, a bawiliśmy się dobrze we wszystkich bogatych, miernych i ubogich kondycjach.

„Ktokolwiek hulał na balu w Krzeszowicach, że stokroć lepiej się ubawił niż dziś na wszystkich balach dawanych na cele dobroczynne — na redutach u Knotza bywały najmożniejsze rodziny, a szumowiny społeczeństwa miewały swoje w szynku pod beczką na Sławkowskiej ulicy i nie odstraszały osób przyzwoitych od maskarad — wesoło też działo się i na przechadzkach publicznych.

„Nie myślcie sobie panowie dzisiejsi, że w ogrodach Kremera lub Krzyżanowskiego uwijali się kelnerzy wyfraczeni, z serwetami w ręku, wymustrowani i wrzeszczący co chwila: *Was szafen eur gnade'n* lub *g'fällig?* Nie kurczyły się tam papryka, sznycle ani piwo lało strumieniami w gardziołka gości? ale też ołowiana chwilowo trucizna nie przygniotała centnarami ducha i lotnych nie obcinała mu skrzydeł. Piwo ociężyło umysł Krakowian, a zobaczycie co się stanie z Francją jeżeli rzuci się w jego objęcia, (piwa? objęcia?) jak tam w gazetach donoszą. Kawa, kwaśna śmietana, kurczęta, raki, chleb z masłem, tani a zdrowy węgrzyn i leciuchne pacakowskie piwko, stanowiły wówczas posiłek gości, którzy obsiadłszy stoliki nie o Algerji lub Kochinchinie ale o własnych i ojców sprawach, to wesoło, to tęsknie gwarzyli."

Tak — było lepiej — niestety! wrócić do tego stanu niepodobna, próżne po nim westchnienia — trzeba się z teraźniejszym utrapionym pogodzić i znosić.

Ustępy podobne, których w powieści jest dosyć, dają jej historyczną cechę i są pamiątką, której wartości odmówić nie można, — zresztą jako utwór artystyczny, powtarzamy tu jeszcze — nie odpowiada ona temu czegoby po dziele pośmiertném Wielogłowskiego spodziewać się można. Do p. Siemieńskiego należy, wedle jego zeznania, drobny rozdział ostatni i to nie cały, chociaż możnaby posądzić, że rękopism w środku gdzieniegdzie został zbogacony, temi porównaniami przeszłości szczęśliwej z nieszczęśliwą teraźniejszością, które są raczej w duchu i manierze wydawcy niż autora. Mylemy się może — ale takie na nas uczyniły wrażenie.

Bądź co bądź, rękopism zasługiwał na wydanie i znajdzie pewnie ochotnych czytelników, a pamięci Wielogłowskiego jednym — przyczyni bławatkiem.

Dr. Omega.

Chemins de fer d'intérêt local. Rapport de la Commission de l'association des ingénieurs sortis de l'école de Liège, fait par M. M. Ch. Beer et L. Syroczyński Ingénieurs. (Extrait de l'annuaire de l'Association.) 1. Cabier 1871. Liège, 1871. 8. 39 pp.

Kwestja roztrząsana w tej broszurze, która nas zajmuje jako praca naszego ziomka p. Syroczyńskiego — jest i dla wielu prowincji i miejscowości kraju wielkiej wagi. Pierwszym warunkiem rozwijania się przemysłu, handlu, rolnictwa i życia społecznego są — drogi. Kraj bez dróg jest to ciało bez arterji; krew nie krąży, ciało obumiera. Najpotężniejsze państwa w starożytności, a mianowicie Rzym instynktowo pojmował już tę dróg ważność, jako narzędzi cyrkulacji. Drogi państwa rzymskiego były strategiczne szczególniej, niektóre z nich służyły wielkim karawanom handlowym. Były to czasy centralizacji, ognisk, starczyły więc gościńce wielkie na połączenie ich z sobą. Życie rozchodząc się po całym kraju wymaga dróg wielu, dróg jak najwięcej; wymagają ich przemysły różne, kopalnie, produkcja różnych płodów, które w formie surowej i zajmując znaczną przestrzeń wychodzą na konsumpcją zewnętrzną. Wielkie sieci dróg żelaznych nie starczą krajowi jeśli do nich nie przypierają, nie łączą się z niemi pomniejsze. Ztąd potrzeba dróg i kolei bocznych, — w interesie miejscowych produkcji. Tu rodzi się pytanie jak urządzić te drogi tak ażeby włożony w nie kapitał procentował — stosunek kosztów do dochodów. Drogi te małe, na których obrót towarów nie może być zbyt wielki, prawie zawsze się nie opłacają. Trzeba więc szukać środków zbudowania kolei takich, aby kapitał w nie włożony, mógł procentować, inaczej mówiąc, idzie o budowanie dróg tanich.

To zadanie w sposób praktyczny, poparty rachunkiem przybliżonym, stara się rozwiązać p. Syroczyński. Wskazane tu środki zmniejszenia kosztów — albo budowa dróg węższych i niewymagających ani nasypów, ani szyn tak kosztownych, lub wedle nowego systemu Larmanjat o jednej szynie i jednem kole idącém po kolei a drugiem po usypie stosownie urządzonym, naostatek transport z pomocą pary bez szyn. Koszta tych wszystkich systemów są tu obrachowane; ale doświadczenie musi dopiero wskazać, który z nich okaże się najpraktyczniejszym.

Pracę p, Syroczyńskiego polecamy uwadze inżenierów naszych.

Dr. Gamma.

Rozmaitości.

— **Następująca odezwa** drukowana po francuzku, porozlepiana była przed kilką tygodniami na murach Paryża:

Francuzi! Straciliśmy tysiące ludzi, sławę naszą, mienie, część Francji i możemy przewidywać utratę jej całej.

Straciliśmy więcej niż to wszystko, — bo los naszej ojczyzny, jej niesłychane nieszczęścia nie rozdzierają serc naszych, nie wyrywają nam łez boleści, — dowodzą tylko, żeśmy stracili wszelkie ludzkie uczucie.

Tak, straciliśmy je, bośmy się zaparli źródła wszelkiego uczucia wielkiego i szlachetnego — zaparliśmy się Boga! staliśmy się bezbożnikami, — bezbożnémi w kościele, bezbożnémi w życiu publicznem, bezbożnémi w prywatném życiu, bezbożnémi jako kapłani i fałszywi pobożnisie, jako urzędnicy i obywatele, jako rządzący i rządzeni. — Stworzyliśmy sobie Boga własnego = *złoto i roskosz.* Samolubstwo i materjalizm, ta gangrena okropna, trawiły dusze nasze, i gdybyśmy dalej tak żyli, zeszlibyśmy niżej bydlęcia. — Ale Bóg nas powstrzymał, dopuścił On, by plaga straszliwa na nas spadła — aby nas z tej choroby uleczył. Karze nas za grzechy nasze i powołuje byśmy się odrodzili.

Ludu francuzki! ludu niegdy arcy-chrześciański, czyż w duszy twej nie poczujesz obrzydzenia własnego stanu? czyż wszelka iskra ognia świętego zagasła w tobie? Roznieć tę iskrę w sobie! padnij na kolana przed Panem panów! z głębi twej duszy, wydaj ku Niemu krzyk rozpaczy i pokuty, On sam zbawić cię może, a miłosierdzie jego bez granic!

Polak, dziecię narodu pokutnego, przynoszę Francji, mej drugiej ojczyźnie, jako spłatę mojego długu, tych kilka słów pochodzących z głębokiej mej ku niej miłości.

Edmund Różycki.
Avenue St. Mandé. 70.

Paryż, 24. Marca 1871.

— **Strzecha** (Lwów) w ostatnim zeszycie V. mieści następujący wiersz niedrukowany **A. Mickiewicza**, napisany w roku 1831. (Grudniu) w albumie pani Szo. . . .

Do Wielkopolanek.

Hańba, hańba polskiej córze,
Co cnotą gardzisz rodową
I tak czystą ust twych różę
Brandeburgską brudzisz mową!

Nie dla cię słowa stworzone
Zębołomne, dziko brzmiące,
Sadzą knastru okopcone
I dymem fajek cuchnące!

Krzywdzi, depce przodków kości,
Już jest w duszy niewolnikiem,
Czerni się błotem podłości,
Kto mówi wrogów językiem.

W twojem zaciszu domowém
Bądź nam od wrogów ochroną,
Odepchnij go polskim słowem
Jak czarta wodą święconą!

Polko! Polko! broń nas szczerze!
Tarcza twoja w twojem słowie;
Stoisz skałą przy twej wierze —
Stój posągiem przy twej mowie!

Matki! matki przyszłych matek!
Dumne z swieżych synów sławy,
Zapiszcie to w duszach dziatek
Ogniem gromów, krwią Fiszawy:

„Że kto wroga w dom wprowadza
Siebie bluźni, lud swój zdradza,
I każdém tchnieniem prusczyzny
Pluje na grób swej Ojczyzny!!"

— **P. W. B. we Florencji.** Musielibyśmy na list Wasz, bardzo chyba obszernie odpowiadać. Sprawiedliwość przychodzi zawsze, a choćbyśmy jej zmysłem i rozumem pochwycić nie mogli — jest, bo musi być, bo gdyby jej nie było, byłaby konieczność bezrozumna. . . . Wierzyć w to musiemy lub oszaleć. — Co się tyczy panslawizmu, tego inaczej my zrozumieć nie możemy jak federacją Słowian . . . równych z równémi i wolnych z wolnémi. To co się dziś zowie panslawizmem, jest monorussycyzmem. Dla Rosji jest to narzędzie, dla słabych złudzenie, dla nieszczęsnych maska a ostateczne idea niepraktyczna, choć chwilowo zaprzątająca. Alfabet, o którym pan mówisz, jest bardzo umiejętnie na podstawie naukowej ułożony przez ks. Malinowskiego. Prosiemy pisać. — Pozdrowienie braterskie.

— **P. Nieopryszkowi** na telegram ze Strzelna. Niestety, szanowny panie, *errare humanum est*, popełniona została omyłka druku nie poprawiona, prześlepiona, ale szczęściem nikogo w błąd wprowadzić nie mogąca co do ucha Malchusowego, gdyż w drugiej klassie uczniowie już są mocno utwierdzeni w tém, iż nie Paweł ale Piotr odciął to ucho nieszczęśliwe. Od czasów Giotta zawsze bieda z tem uchem.

Dr. Omega.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.